

Jerzy Stempowski

Z archiwum Jerzego Stempowskiego

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 3, 177-190

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z ARCHIWUM JERZEGO STEMPOWSKIEGO

Andrzej Stanisław KOWALCZYK (Warszawa)

Publikowane poniżej dwa teksty Jerzego Stempowskiego pochodzą z jego archiwum zdeponowanego w Bernie, w Burgerbibliothek jako „Stempowski Nachlass” (materiały z lat 1940–1969). Do ogłoszenia drukiem archiwaliów zostałem upoważniony przez panią Dieneke Tzaut, zmarłą w roku 1998 kuratorkę spuścizny po Jerzym Stempowskim.

Esej, poświęcony analizie duchowej sytuacji kontynentu, jakby część druga *Europy 1938–1939*, powstał w czasie drugiej wojny światowej, którą Stempowski spędził w Szwajcarii (najpierw w Bernie, a następnie w małej miejscowości Muri pod Bernem). Przeznaczony był zapewne dla jednego z pism polskich, nie ukazał się jednak drukiem. Być może autor uznał go za zbyt pesymistyczny. Jest jednym z nielicznych polskich utworów literackich starających się spojrzeć na wojnę jako na przejaw kryzysu duchowego nurtującego Europę. Szkic Stempowskiego staje więc obok eseistyki z lat 40. Bolesława Micińskiego, Stanisława Vincenza, Tadeusza Krońskiego. Liczne motywy, rozwinięte w eseju, pojawiają się w korespondencji z Krystyną Marek z tych lat (*Listy z ziemi berneńskiej*, Londyn 1974) i w listach do Bolesława Micińskiego (*Listy*, Warszawa 1995).

Esej „Szpital Starozakonnych na Czystem” pozostał nie dokończony. Nie wiemy, kiedy utwór został napisany. Być może powstał pod wpływem dochodzących z kraju wieści o prześladowaniach narodu żydowskiego przez hitlerowców. Stempowski, mający wielu przyjaciół Żydów i znający kulturę żydowską, nie podjął nigdy tematu Zagłady. Być może „Szpital Starozakonnych na Czystem” jest próbą zmierzenia się z tym, tak bolesnym dla pisarza, tematem.

Prawdopodobna jest jeszcze inna hipoteza. Kontekstem dla eseju są takie utwory jak *Wronia i Sienna* oraz *Dzieci Warszawy w początkach XX stulecia*, napisane i opublikowane w „Kulturze” na początku lat 50. Stempowski planował książkę złożoną z esejów autobiograficznych. Do niej właśnie „Szpital Starozakonnych na Czystem” mógł być pisany. Przerwanie pracy nad esejem związane byłoby z zaniechaniem całej książki.

W SZPITALU STAROZAKONNYCH NA CZYSTEM

Szpital Starozakonnych znajduje się już poza właściwym obrębem Warszawy. Jadąc doń mijamy ubogie dzielnice położone za Dworcem Głównym, przecinamy Żelazną i Towarową, jedziemy w poprzek torów kolejowych, z których wyladowują węgiel, potem przez pewien czas znajdujemy się wśród białych parkanów zasłaniających puste place i składy opalowe, wreszcie widzimy znów ulice zabudowane, ale inne niż w Warszawie, przypominające raczej przedmieścia Łodzi lub Częstochowy. Domy są tu niższe, o fasadach bielonych wapnem, jezdnie pełne kurzu, brukowane polnym kamieniem.

Zatrzymujemy się na rogu wąskiej uliczki biegnącej między wysokim drewnianym parkanem i długim, piętrowym, białym budynkiem, przypominającym gmach starostwa we Włodzimierzu lub Kołomyi. Mieści się w nim ambulatorium i kancelaria szpitala. Uliczkę zamyka żelazna brama, nad którą widnieje napis: Szpital Starozakonnych.

Idąc za tym napisem, znajdujemy na końcu uliczki niewielkie, zamknięte zewsząd podwórze, nad którym wznosi się spora kamienica. Co chwila wychodzą z niej młode kobiety z teczkami i szybko zdążają ku wyjściu. Są to, jak się potem dowiemy, pielęgniarki niosące w teczkach do domu swój urzędowy, biały strój. Wejście prowadzi do obszernej, szarej poczekalni, oddzielonej od korytarzy drewnianymi przepierzeniami i przypominającej poczekalnie urzędów skarbowych. Na drewnianych ławach siedzą ubogo ubrani chorzy, na których twarzach widać cierpienie lub rezygnację. Pod ścianą, na wysokim wózku szpitalnym, leży błąd człowiek, patrzący przerażonym wzrokiem.

Przy załatwianiu krótkich formalności związanych z przyjęciem na oddział chirurgiczny, zapoznajemy się trochę z historią szpitala. Wszędzie zatrzymują nas tablice, na których widnieją długie listy fundatorów. Każdy z oddziałów posiada nadto osobne tablice fundatorów, których ofiarność umożliwiła założenie lub rozwinięcie danego działu lecznictwa. Tu i ówdzie spostrzegamy nazwiska rodzin zamożnych, znanych z historii przemysłu, handlu i finansów Królestwa Kongresowego. Ogromna większość nazwisk jest jednak nieznana. Świadczą one o długotrwałym wysiłku zbiorowym, o wielkiej fali oświeconej filantropii, jaka przebiegła burżuazję żydowską w ubiegłym stuleciu. Na ścianach kancelarii oglądamy stare fotografie zbiorowe lekarzy z okresu pozytywizmu, z brodami w czarnych surdutach i szerokich spodniach. Szpital Starozakonnych ma za sobą piękną, starą tradycję; obecnie jest szpitalem miejskim i utrzymywany ze środków publicznych. W znacznej mierze zachował on jednak swój dawny charakter szpitala warszawskiej gminy żydowskiej: pośrodku zabudowań wznosi się niewielka bożnica, kuchnia jest koszerna. Do Szpitala Starozakonnych kierowali się przede wszystkim chorzy wyznania mojżeszowego, stanowiący ogromną większość jego mieszkańców. W salach szpitalnych znajduje się jednak pewna ilość chorych nie-żydów, którzy zostali tam umieszczeni z braku miejsca w innych szpitalach miejskich lub zgłosili się tam z własnego wyboru.

Po przejściu starych budynków mieszczących zarząd, kancelarie i poczekalnie szpitala, czeka nas niespodzianka. Przez niewygodny korytarz starej kamienicy wychodzimy do obszernego ogrodu o szerokich alejach biegnących wśród starych drzew, i wielkich, rozległych trawnikach, które w maju pokryte są lanami kaczęńców. W morzu zieleni, tworząc nieregularne grupy, wznosi się dziesięć wielkich, przeważnie nowożytnych budynków szpitalnych o śmiało rozpiętych skrzydłach, wielkich oknach i werandach tworzących jaskrawy kontrast z ubogim i prowincjonalnym charakterem Czystego.

Oddział chirurgiczny, w którym mam spędzić parę tygodni, mieści się w największym pawilonie tworzącym szeroką podkowę zwróconą ku południowi. Budynek ten, liczący 300 łóżek i kilka pięknych sal operacyjnych, wysokich, o szklanym łamanym suficie jak pracownie rzeźbiarzy, został przebudowany i rozszerzony znacznie przed kilku laty. U wejścia tablice kommemoracyjne z długą listą fundatorów mówią o starszej historii oddziału.

Wnętrze pawilonu przynosi nową zmianę dekoracji. Szare, wydeptane schody drewniane zdają się należeć do jakiejś innej opery, do starego budynku gimnazjalnego lub nawet do składów fabrycznych. Korytarze i sale przechodnie są czyste, lecz ubogie. Drzwi malowane szarą farbą, stoły i wózki niosące na sobie ciężar pracowitych lat przypominają często w Polsce spotykany widok domu odziedziczonego po zamożniejszych przodkach przez ubogich krewnych. Białe, żelazne łóżka są miękkie i wygodne, ale metalowych podpórek, pozwalających podnieść głowę i ramiona chorego, jest wciąż brak. Chorzy otrzymują je po operacjach i muszą po kilku dniach oddawać nowym operowanym. Koszule i szlafroki chorych są czyste, ale noszą liczne łaty. Skórzane pantofle zdają się pamiętać czasy Abrahama. Wreszcie wyposażenie techniczne oddziału zdaje się również nosić znamiona skrajnej oszczędności. Wszystko razem robi wrażenie, że wydano zbyt wiele na budowę szpitala i w skutek tego trzeba dziś oszczędzać na jego utrzymaniu. Stąd pochodzi pewien kontrast między dzisiejszym wyglądem stolicy i wnętrzem jej szpitali. Ulice dekorowane są kwiatami i sztandarami, pokryte drogim asfaltem, wnętrza szpitali utrzymane są na poziomie bruku z polnego kamienia, po którym ostatecznie można też jeździć, ale nie tak prędko, lub na poziomie kamienicy czynszowej przy ul. Czerniakowskiej, gdzie można też mieszkać, ale gdzie komorne jest już dużo niższe. Od zewnątrz jest galówka, *grand luxe*, od wewnątrz *le strict nécessaire*.

*

Nie wszyscy przyjęci do szpitala wychodzą zeń na ulicę Dworską przez budynek administracji. Niektórzy opuszczają go przez wąską uliczkę biegnącą po drugiej stronie murów szpitala, gdzie w podziemiu znajduje się kostnica. Dla tej przyczyny szpital, pomimo swych słonecznych tarasów i zielonych trawników, należał tradycyjnie zawsze do rzeczy ostatecznych, do tego, co teolodzy nazywają *ta eschata*. Szpital jest jednym z punktów granicznych, u których kończą się wszystkie sprawy ludzkie i dalej nic nie ma. Chorzy zbliżają się doń powoli; jedni cofają się z powrotem ku życiu, inni przekraczają fatalną linię demarkacyjną.

Wchodzącego do szpitala ogarnia od razu atmosfera punktu granicznego, w którym błędna barwy i wyrównują się nierówności. Zaraz po przybyciu nowy pacjent trafia do łazienki, z której wychodzi w szerokiej białej szpitalnej przypominającej sztychy Goyi i w rodzaju francuskiej *salopette*, długiej do kolan płóciennej bluzie w biało-niebieskie paski. Uniform szpitalny zastępuje ubranie cywilne, które zdradza człowieka i jego przynależność do grupy społecznej. Chorych wyróżniać jeszcze może wyraz twarzy i gest zrośnięty z długotrwałą postawą psychiczną. Ale i te różnice zacierają się szybko. Oczy zamroczone przez gorączkę i morfinę, ciała rozciągnięte bezwładnie nie mówią już nic prawie o pochodzeniu i nawet wieku pacjentów, przybierając formy właściwe ich chorobom.

Niwelacja w obliczu cierpienia i śmierci występuje w szpitalu w różnych postaciach. Jeden ze starszych pacjentów wskazuje palcem na moje łóżko:

— Dostał pan bardzo szczęśliwe łóżko. Od kiedy tu jestem, nikt jeszcze na tym łóżku nie umarł i leżeli na nim sami bogaci i ważni ludzie. W zeszłym roku leżał na nim taki, do którego mówili „panie ministrze”.

Słowa te budzą śmiech. Co wart jest tytuł byłego ministra ze wszystkimi przynależnymi doń orderami dla człowieka, który w szpitalu starozakonnych na Czystem ma się poddać ciężkiej operacji? Dopiero u rekonwalescentów tytuły i godności ulegają stopniowej rewaluacji.

Same nawet pieniądze tracą w szpitalu większą część swego blasku. Koło pawilonu dla chorych umyślowo znajduje się mała kantyna, w której można kupić papierosy i czekoladę. Bardziej rozrzutni mogą wydawać w ten sposób złotówkę na dzień. Wszystkie przyjemności, jakie można otrzymać tu za pieniądze, są niczym wobec np. wyjazdu na wózek na taras, gdzie ciepły wiatr zdaje się zwiewać z chorego w ciągu kilku minut trujący opar gorączki i morfiny. Zresztą obyczaj szpitalny nie przewiduje posiadania pieniędzy. Strój szpitalny nie ma stosownych kieszeni. Nie można również trzymać ich pod poduszką, bo po operacjach pacjenci nie wracają do swych łóżek, ale na osobną salę dla świeżo operowanych. Toteż zapasy gotówkowe chorych ograniczają się do paru złotych „na wszelki wypadek”. Doświadczeni bywalcy chowają je w węzélku na chusteczce do nosa.

*

Szpital i medycyna współczesna, biorąca w posiadanie chorego aż do jego ostatnich chwil, są stosunkowo nowego pochodzenia. Nie zawsze kamfora i kofeina były ostatnimi towarzyszkami wielkiej podróży. Ten punkt graniczny nie zawsze był strzeżony przez lekarzy w białych bluzach i miał już wielu innych sławnych celników.

Ludzie dawnych czasów nie wierzyli zbyt w skuteczność pomocy lekarskiej i wcześniej przygotowywali się do nieuniknionego końca. W jednym ze swych listów Seneca wypowiada mniemanie, że poddawanie się z przepisu lekarza długotrwałej diecie jest poniżej godności Rzymianina, przyzwyczajonego do jedzenia tylko według własnego wyboru. Kiedy zaszła potrzeba zachowywania diety, lepiej jest, według Seneki, dobrowolnie opuścić życie pozbawione godności i prowadzące już tylko do smutnego końca. Najwidoczniej diety przepisywane chorym przez lekarzy rzymskich były bardzo mało skuteczne. Każda niedyspozycja zawierała *memento mori*. Bardzo liczni umierali młodo, zanim zapoznali się z *vanitas vanitatum* i odczuli pragnienie wiecznego odpoczynku. Stąd pochodziła nieustanna potrzeba godzenia się ze śmiercią, osuwania kapryśnej i dzikiej, wciąż czujnej myśli o śmierci. Tysiące proroków, filozofów i artystów podejmowało na nowo próby pocieszenia i wytłumaczenia. Z indeksu *Patrologii* Migne'a dowiadujemy się, że śmierć była najczęściej omawianym tematem pisarzy chrześcijańskich pierwszego tysiąclecia. Z dziennika Edmunda de Goncourt wynika, że śmierć była najczęstszym przedmiotem konwersacji na sławnych diners Magny, gdzie spotykali się pisarze naturaliści. W dziedzinie tej istnieje nieprzerwana ciągłość idąca aż do progu naszych czasów. Historia sposobów zaklinalania i osuwania myśli o cierpieniu i śmierci tworzy sama wielki rozdział historii naszej cywilizacji.

W starych galeriach ze wszystkich ścian patrzą na nas obrazy cierpienia i śmierci. Motyw ten biegnie przez wszystkie wieki aż do zadziwiającej sztuki późnego baroku, w której na skutek długiego wysiłku wielu pokoleń artystów, śmierć zdawała się niemal całkiem oswojona, i mówiono o niej w zawiłych symbolach, w metaforach podobnych do rebusów i w groteskowych epigramatach. Jak śpiewa jej sławę Angelus Silesius w swych barokowych dystychach:

Tod ist ein selig Ding: je kräftiger er ist,
Je herrlicher daraus das Leben wird erkiest.

Albo w innym miejscu:

Ich sage, weil der Tod allein mich machet frei,
Dass er beste Ding aus allen Dingen sie.

Albo jeszcze dalej:

Trompeten hör ich gern, mein Leib soll aus den Erden
Durch ihren Schall erweckt und wieder meine werden,

jak gdyby w przeczuciu 20 autonomicznych puzonów z *Requiem* Berlioza i 11 puzonów towarzyszących trzydziestu trzem żalobnym klawetom z *Grande Symphonie Funebre et Triomphale*.

Długi wiek baroku, dla różnych przyczyn tak bliski naszym czasom, stworzył to, co Edmond de Goncourt nazywa *l'art amoureux du néant, l'art galantin de la mort*. Z niego wywodzą się żalobne fanfary słowne poetów romantycznych aż do bardziej uroczystej śmierci parnasistów:

Inerte, bleme, au fond d'un lugubre entourage,
Je descends d'heure en heure et d'année en année.

Od kilkudziesięciu lat dopiero artyści zaczęli opuszczać powoli punkt graniczny, na którym utrzymywali się przez długie wieki, zajęci tam wytwarzaniem świata fikcji broniącej naszego życia uczuciowego przed niegościnnym klimatem moralnym strefy eschatologicznej. Plastyki a potem poeci zwrócili się do innych punktów granicznych i ostatecznych świata sztuki. Miejsce ich zajęli pozytywiści w białych fartuchach. Niegościnnny klimat pogranicza złagodniał pod wpływem wielkiej nadziei, wiary w nieograniczoną potęgę medycyny. Wiara ta zastąpiła w znacznej mierze pocieszenia filozoficzne i religijne dawnych czasów, sztukę epitafiów i pomp żalobnych, słowem olbrzymi wysiłek tysiącleci dążący do opanowania i przetworzenia na myśl i sztukę smutku wiejącego od tragicznej granicy.

Nadzieje powstałe z rozwoju medycyny były tylko częściowo usprawiedliwione. Wiele chorób opiera się leczeniu, wielu chorych umiera na choroby uleczalne u innych. U wielu nadzieja uzdrowienia gaśnie wcześniej i nie daje się podtrzymać przy pomocy żadnych banalnych sposobów. Pomimo tych częściowych niepowodzeń medycyna jest jednak dziś jedyną towarzyszką agonizantów. Nie ma więcej zwyczaju zapraszania do szpitali filozofów i [nieczytelne], którzy towarzyszyli ostatnim chwilom Sokratesa, Seneki i innych sławnych Greków i Rzymian.

*

Jakkolwiek znamy granice potęgi medycyny, wszystkie pocieszające argumenty Seneki, Marka Aureliusza, Boëtiusa z *De consolatione philosophiae* i Tomasza More'a z *Comfort against Trybulacion* według obecnych pojęć wydają się nieskuteczne w porównaniu z ostatnim zastrzykiem kamfory. Możemy zauważyć, że w ostatniej chwili za późno jest na pocieszenie lekarskie i samo nawet pocieszenie religijne udzielone *in articulo mortis* wydaje się bardzo sumaryczne. Nikt jednak dziś nie poszukuje ich wcześniej, w nadziei, że lekarze odłożą ich potrzebę poza wszelkie możliwe do przewidzenia terminy.

Na skutek ewolucji pojęć lekarze stali się dziś jedynymi jeszcze towarzyszami wielkiej podróży; do nich należy dziś cała władza na ostatnim posterunku, na którym zatrzymujemy się przed przekroczeniem fatalnej granicy. Do nich przeszedł spadek po tyłu sławnych przodkach, [słowo nieczytelne] artystach.

[Fragment przekreślony]

Poza dość sumarycznym pocieszeniem religijnym otrzymywanym przez chorych *in articulo mortis*, lekarze są dziś jedynymi towarzyszami ostatniej podróży; do nich należy cała władza na ostatnim posterunku, na którym zatrzymujemy się przed przekroczeniem fatalnej granicy. Im też przypadły w udziale wszystkie smutne przywileje wynikające z tej władzy.

SYTUACJA MORALNA KONTYNENTU

Głównym faktem wyznaczającym dziś pozycję moralną kontynentu europejskiego jest jego kapitulacja. O zjawisku tym mówimy zazwyczaj myśląc o Francji, jego zasięg jest jednak znacznie szerszy. Przedtem już kapitulowała Holandia i Belgia, Dania i Norwegia.

W kapitulacji francuskiej należy odróżnić dwa fakty luźno tylko ze sobą związane: złożenie broni i kapitulację moralną, tj. obalenie republiki i dobrowolne przyjęcie statutu politycznego zwycięzców z jego wszystkimi akcesoriami, wyrzeczeniem się demokracji, antysemityzmem, prześladowaniem masonów itd. Ten ostatni fakt stał się jak gdyby hasłem dla całego kontynentu. We wszystkich krajach prócz Polski zjawili się miejscowi patrioci niemieckiej obediencji i apostołowie kapitulacji w różnych językach chwalcący Führera. Kraje jeszcze nieokupowane zaczęły przygotowywać się moralnie do witania wojsk okupacyjnych i niesionego przez nie tak zwanego nowego porządku. Własny statut polityczny zachowały dotąd tylko dwa kraje małe, leżące na uboczu od głównej osi wypadków, mianowicie Szwajcaria i Szwecja.

Kapitulacja stała się zjawiskiem powszechnym, pewnego rodzaju statutem uniwersalnym dla kontynentu europejskiego. „Osie”, „aljanse”, są to dziś kombinacje już czysto werbalne, którym brak oparcia w rzeczywistości doświadczalnej. Wypadki rumuńskie wykazały, że aljans z Niemcami jest tylko inną nazwą kapitulacji klasycznej z rozbiorami i okupacją wojskową. Zagadnienie kapitulacji stało się aktualne nawet dla Włoch. Jest dziś jasne, że dalsze niepowodzenia królewskiego i cesarskiego rządu Italii muszą pociągnąć za sobą kapitulację i okupowanie półwyspu apenińskiego przez wojska niemieckie.

Wypadki te nie były zupełną niespodzianką. Już od 10 lat uważni obserwatorzy z przerażeniem widzieli hitleryzację znacznej części plutokracji i burżuazji europejskiej. Mniemanie, że majątek i dochody można zachować jedynie przy ustroju faszystowskim, należało do najbardziej rozpowszechnionych wśród tak zwanych klas posiadających całego kontynentu. Z nich rekrutowali się we wszystkich krajach stronnicy kapitulacji politycznej i darmowi agenci Niemiec. Dziś stało się wiadome, że część tak zwanych monarchijczyków francuskich żyła podczas wojny nadzieją na klęskę swego kraju, widząc w niej jedyny sposób zachowanie fortuny, tak trudno zwyciężać.

Nadzieje posiadających zostały zawiedzione. Niemcy są dziś aliantami bolszewików. Armie ich niosą wszędzie pogardę dla „plutokratów” i generalne wywłaszczenie w formie *Neuordnung* i *deutsche Führung*. Ale na te refleksje było już za późno. Klęska, przygotowana wspólnymi siłami Niemiec ich aliantów z 5-tej kolumny, była faktem dokonanym. Między potępieniem swoich i pogardą okupantów grupa kapitulantów zamożnych znalazła się w prawdziwej pułapce, z której nielatwo zapewne będzie się wydostać. Na razie widzimy ich głównie czyszczących buty wszystkich chwilowych panów życia i śmierci na terenach okupowanych.

„Zdrada klerków” również przygotowywała się od dawna, i nieodporność elity umysłowej kontynentu na wypadki ostatniego roku nie była dla nikogo niespodzianką.

Kompleks niższości, jako ogarnął narody zwyciężone na polu bitwy, pociągnął za sobą doniosłe skutki polityczne. Gdy zwyciężeni w swym własnym mniemaniu zaczęli uważać się za bankrutów moralnych i ludy drugiej klasy, również i zwycięzcy zaczęli powoli patrzeć na nie jak na plastyczną masę, gotową do przyjęcia narzuconych z góry form. Ambicje ich, jak niegdyś ambicje ich mistrzów moskiewskich, zaczęły przybierać tak zwane planetarne rozmiary. Dziś wiemy już z mów samego władcy, że nie chodzi więcej o te lub inne zdobycze terytorialne, ani nawet o sławny *Lebensraum*, ale o narzucenie światu niemieckiego kierownictwa i stosownych do tego celu form politycznych i społecznych. Okupacja więc przestała być stanem przejściowym między zakończeniem

działań zbrojnych i podpisaniem pokoju, ale przybrała charakter stanu defibitywnego, mającym po wycofaniu wojsk przeobrazić się w okupację policyjno-partyjną i trwać, jak się teraz mówi w Niemczech „po wszystkie czasy”. Coraz szerzej zaczęła przenikać świadomość, że Francja, mimo swych dekretów antyżydowskich i antimasońskich, nie uniknie, w razie zwycięstwa Niemiec, losu Polski. Po anektowaniu wszystkiego, co się da, grozi jej podział na protektoraty północny i burgundzki z pozostawieniem pod opieką faszystów francuskich części kraju odpowiadającej mniej więcej dzisiejszej Francji nieokupowanej.

Po upływie pół roku możemy dziś zrobić tymczasowy bilans kapitulacji francuskiej. Inicjatorzy jej działali pod bezpośrednim wrażeniem katastrofy. Armia francuska cofała się wśród tłumu uchodźców, których 10 milionów tłoczyło się na kurczącym się pod ich stopami terytorium. Zawieszenie broni wydawało się rządowi w Bordeaux jedynym sposobem opanowania sytuacji wewnętrznej i położenia kresu bezprzykładnej poniewierce ludności. Kapitulacja moralna miała na celu dalszą obronę ludności i stępienie ostrza nienawiści teologicznej faszystów do demokracji. Ministrowie z Vichy stosowali taktykę Talleyranda, który po klęsce Napoleona wytłumaczył ówczesnej koalicji antyfrancuskiej, że skuteczne narzucenie Francji starego reżimu wymaga od zwycięzców pewnych ofiar i powstrzymania się od aneksji i szykan.

Historia jednak nie powtarza się. Koalicja przeciwnapoleońska miała cele konserwatywne, dążyła do konsolidacji zachwianego *status quo*. Dziś role są odwrócone. Demokracje Zachodu dążyły do zachowania istniejących konwencji społecznych, państwa osi natomiast reprezentują siłę wywrotową. Dlatego kapitulacja moralna jest dziś przyjęciem warunków bliżej nieokreślonych. Francuzi mieli sposobność zapoznać się z tym faktem, kiedy władze okupacyjne wysiedliły z Lotaryngii 60.000 mieszkańców, proponując im wyjazd do Polski lub Francji nieokupowanej. Na reklamacje francuskie Niemcy dali do zrozumienia, że przesiedlenia są ich systemem administracyjnym, sposobem bycia ludów dynamicznych. Rzesza przesiedla wciąż swych własnych poddanych i nie widzi powodu pozostawiania na miejscu Francuzów.

Zatem więc jako próba, chociażby za cenę wielkich ofiar, zatrzymania dalszego pochodu katastrofy i częściowego przynajmniej przywrócenia *status quo*, kapitulacja osiągnęła bardzo małe wyniki i przypomina raczej przerwę zrobioną na życzenie pacjenta w połowie bolesnej operacji chirurgicznej.

Ale i pesymiści nawet nie przewidzieli zapewne wszystkich kosztów kapitulacji i bezużytecznych cierpień, jakie miały z niej wyniknąć. Mamy tu na myśli koszta moralne kapitulacji, związane ze szczególną konstytucją psychiczną Francuzów.

Obcych uderza zawsze u Francuzów drażliwość miłości własnej, czułość honoru i pewna szczególna ocena sławy i rozgłosu. Francuz, mówią, godzi się na wszystko, prócz na to, aby pozostać niedostrzeżonym. Ludzie Północy biorą to najczęściej za próżność. Jest to jednak zbytne uproszczenie rzeczy nierównie głębszej i zawilej. Aby ją lepiej zrozumieć, wypada przejść w pamięci wszystkie manie wielkości od Ludwika XIV do Napoleona, odziedziczone przez dzisiejszych Francuzów, wszystkie luki tryumfalne, pałace, słońca Austerlitzu, orły, sztandary, wieki blasku i sławy idące przez pokolenia. Sam nawet smak artystyczny Francuzów jest w gruncie rzeczy innym wyrazem tej samej mani wielkości według zasady horacjańskiej: *qui non tendit ad summum, vergit ad imum*. W sztuce wszystko, co gorsze od najlepszego, nie liczy się. (Kto nie dostrzegł, ile pychy ukrywa się w pochwalie mierności, nie rozumiał dobrze Horacego.) U tak głęboko francuskiego Boileau uderza nas nade wszystko pedantyczna nienawiść wszystkiego, co mierne. Gdy przypomnimy sobie Wiktora Hugo, który wolał spędzić 18 lat na wyspie niż przeprosić Napoleona Małego, gdy przypomnimy sobie wszystkie zawarte w literaturze

francuskiej odcienie goryczy zrodzonej z dumy, wówczas zrozumiemy lepiej pewne obciążenie dziedziczne pokonanych z 1940.

Krótki okres komitetów nieinterwencji i panowania „monachijczyków” nie mógł zmyć w ciągu kilku lat tradycji wytworzonych w biegu stuleci. Żaden inny naród nie był, być może, równie mało przygotowany psychicznie do kapitulacji i abdykowania ze swej roli w Europie. Zresztą ani po Waterloo ani po Sedanie okoliczności nie wymagały od Francji kapitulacji moralnej obecnego typu, kapitulacji „dynamicznej” z narastającą wciąż listą abdykacji i upokorzeń. Lista ta bowiem nie jest bynajmniej zamknięta. Już po dekretach antysemickich i samorządzie korporatywnym, w listopadzie Pietro Solari pisał w „Corriere della sera”, że Francja nie jest jeszcze dość zwyciężona, i że jej duch „plutokratyczny” jeszcze żyje. „Francja — pisał — musi jeszcze ponieść klęskę moralną równie rozstrzygającą jak była jej klęska wojskowa.” Czytelnik szuka w wyobraźni upokorzeń, jakie zwycięzcy trzymają jeszcze w zapasie dla Francji, i mimo woli przychodzą mu na myśl wzory z Polski: „Nur für Volksdeutsche”, „Adolf-Hitler Platz”, „Sieradz vom polnischen Joch befreit”, i wszystkie inne rekwizyty niemieckiego „kierownictwa”.

Na refleksje te Francuzi nie mieli już czasu. Wypadki nie pozwoliły im wybrać swego losu. Zanim ktokolwiek zdążył oprzytomnieć zawieszenie broni, kapitulacja moralna i trybunał stanu w Riom były już faktem dokonany. Granice zamknęły się, i nawet na emigrację polityczną było za późno. Pozostało akceptowanie losu, zajęcie postawy biernej: *prefer et obdura*, jak mówili stoicy rzymscy.

Sami zapewne autorzy kapitulacji nie wyobrażali sobie, jak trudno będzie Francuzom znieść ten los, wytrwać w postawie upokorzonych i oczekujących kary. Tylko ponura wyobraźnia Dostojewskiego, który przeszedł całą drogę od stóp szubienicy do apologii carskiego reżimu, mogła sobie dokładnie przedstawić wszystkie stadia załamywania się psychicznego, paniki i hysterii, jaka ogarnęła kraj po kapitulacji.

Zaczął się więc obalanie starych bogów, hańbienie i wyklinanie pokonanej republiki, której nawet samą nazwę wykreślono ze słownika oficjalnego, zastępując ją słowami *l'Etat français*.

Za czasów swej świetności Trzecia Republika była liberalna, i wolność słowa była w niej nieograniczona. Wrogowie swobodnie rzucali na nią obelgi i kalumnie, nie wywołując ani sprzeciwu, ani nawet zdziwienia. Gdy pochylili się ku upadkowi, zaczął zerować na niej jak robactwo cały tłum skrybensów i pipifaksów czyli tak zwanych publicystów. Kapitulacja była dniem ich tryumfu. Wszystkie sprzedajne pióra Francji rzuciły się do czernienia papieru. Zapal kapitulacyjny przechodził coraz bardziej w histerię; żądano kary na wszystkich, kto chciał się bronić. Marcel Déat pisał, że na czele 15 deputowanych sabotował systematycznie wszystkie przygotowania do wojny. Takimi rzeczami chwalono się teraz głośno, jak zasługą przed ojczyzną. Charles Maurras, chcąc najwidoczniej zakończyć swą karierę jako dobrowolny agent policji niemieckiej, zajął się delatorstwem, donosząc co dzień, że w takiej lub innej miejscowości ukrywają się jeszcze stronnicy republiki i demokracji, których nazwiska ogłosi w najbliższym numerze. „Candide” rozpisał konkurs na francuski *Mein Kampf* — *un livre qui sauvera la France*. „Gringoire” wzywał do aresztowania wszystkich uchodźców belgijskich i hiszpańskich. Cała prasa Francji nieokupowanej zdawała się być na usługach Goebbelsa. Wznowiona w Lyonie „Marianne” została zawieszona, ponieważ autor jednego z ogłoszonych w niej, zresztą za pozwoleniem cenzury, artykułów okazał się Żydem. Z tego samego zapewne powodu wspomnienia wojenne André Maurois ukazały się w Szwajcarii, drukowane w odcinku „Neue Zürischer Zeitung”. We wspomnieniach tych zresztą opisywane wypadki znajdują się jak gdyby na drugim planie, zamglone wybitną zdolnością autora do pomniejszania wszystkiego, o czym mówi. Rozmowy z generałem Gamelinem obracają się głównie dokoła awansu kapitana Maurois na majora. Musimy przypuszczać, że sam

widok kpt. Maurois napelniał nieszczęśliwego wodza roztargnieniem i odpędzał oden wszelką myśl serio.

Zjawiska tego rodzaju trudno jest ocenić bez pewnego *medium comparationis*. We wrześniu dostarczył mi go jeden z pierwszych numerów „Gazety Żydowskiej”, organu gminy żydowskiej krakowskiej i warszawskiej. Jest to jedyne pismo wychodzące legalnie pod okupacją w języku polskim i nie będące organem władz okupacyjnych. W numerze, który trafił do moich rąk, artykuł wstępny był komentarzem do Jeremiasza. Cenzura nie pozwala widocznie na nic więcej. Ale bardziej wymowny od wszystkich wykreślonych przez cenzora faktów był sam ton gazety, ton niesamowity, dźwięczący jak głos otchłani, zwarty, napięty, tragiczny. W ojczyźnie I.K.C., gdzie od wielu już lat brakło godziwej publicystyki, przygodni redaktorzy „Gazety Żydowskiej” dorosli nagle do rozmiaru wypadków i znaleźli słowa, które wymawia się w obliczu ostateczności, słowa, których na próżno szukali w pamięci sławni publicyści zgromadzeni w Vichy. Patrzącemu na rozpiętość tych kontrastów mimo woli przychodzi na myśl pytanie, jak przywrócona będzie jedność moralna Europy, w której okres kapitulacji zostawi po sobie tyle pogardy.

Wśród różnorodnych przejawów kapitulacji moralnej wypada wymienić osobno kapitulacjonizm literacki.

Ponieważ cenzura nie pozwala poruszać tematów politycznych, pisma francuskie zaczęły udzielać coraz więcej miejsca literaturze. W sobotnich i niedzielnych numerach dzienników pojawiły się dodatki literackie. Najwybitniejsze pióra zmonopolizował „Figaro”, w którego dodatku literackim, pozostającym pod redakcją niejakiego André Billy, ukazały się takie nazwiska jak Paul Morand, Jean Schlumberger, Francis Carco i inni.

W jednym z pierwszych dodatków literackich „Figara” ukazał się znamieny artykuł nazwanego już wyżej André Billy o przyszłości powieści francuskiej. Dość obszerny artykuł streszcza się mniej więcej do wywodów następujących. Powieść jest jednym z ważnych działów produkcji narodowej francuskiej. Ponieważ rząd poddał ścisłej reglamentacji wszystkie gałęzie produkcji, jest oczywiste, że i produkcja powieści będzie kierowana przez rząd. Rząd przepisze powieściopisarzom tematy i style, które uważa za najbardziej pożądane. Ponieważ inicjatywa w tej mierze należy do rządu, on sam tj. Billy powstrzyma się od przedczesnych komentarzy, uważając natomiast za dopuszczalne zastanowienie się, jakie z istniejących dotąd rodzajów powieści można uważać już za nieaktualne i niewskazane. Na pierwszym miejscu wymienia Billy powieść balzakowską. W nowym ustroju — pisze — burżuazja została zniesiona i nie ma miejsca na opisywanie jej przeżyć i namiętności. Na drugim miejscu wymienia powieść „egotystyczną i estetyzującą w rodzaju André Gide’a”, dla której również w nowym ustroju nie widzi miejsca.

Czytając tę prozę ma się wrażenie, że wreszcie w Vichy spełniło się marzenie szchedrinowskiego strasznego naczelnika, oczekującego, że obywatele zaczną zgłaszać się sami i prosić o zesłanie na katorgę (*pridut obvatieli i budut katorgi prosit*). Jesteśmy tu już o krok od petersburskiego związku zawodowego literatów żądającego kary śmierci na trockistów, być może zaś jeszcze dalej, bo Billy pisze bez przymusu policyjnego, z własnej i nieprzymuszonej ochoty. Dodać należy, że wszystko co ukazuje się w dziale redakcyjnym, między artykułami Morand’a i Schlumbergera, jakby nigdy nic, jak rzecz powszechnie uznana i zrozumiała.

Oczywiście trudno sobie wyobrazić, aby opinie tego rodzaju podzielane były przez pisarzy mniej skłonnych do hysterii lub chociażby bardziej przytomnych. Wielka literatura Francji przedwojennej obracała się w ogóle w strefie, w której redaktora Billy i jego argumentów nie wpuszczano nawet do przedpokojów. Przeciw niej jednak podniosła się dziś z rynsztoka ulicy, z łamów „Candidów” i „Gringoire”ów, olbrzymia, mętna fala obelg, oszczerstw i złorzeczeń. Publicyści kapitulacji mieszają z błotem całą literaturę Trzeciej Republiki, widząc w niej źródło wszystkiego złego, przyczynę upadku Francji

i nawet jej klęski wojennej. Krzyk historycznego motłochu podniósł się z taką siłą, że zaczęli go brać na serio nawet obcy, stojący poza bezpośrednim zasięgiem kapitulacji. Echa deprecjacji literatury francuskiej dały się słyszeć nawet w prasie szwajcarskiej. Berliński „Lokal-Anzeiger”, poświęcił literaturze francuskiej obszerny artykuł, parafrazujący po niemiecku argumenty „Candida” i „Gringoire” a i kończący się wnioskiem, że wreszcie cała ta zgnilizna francuska zostanie uprzątnięta, i miejsce jej zajmie zdrowe i młode niemieckie piśmiennictwo narodowo-socjalistyczne. Dyplomowany przez „Kulturkammer” krytyk berliński okazał się jednak nieco liberalniejszy od swego kolegi z „Figara”, bo dodaje na końcu, że i we Francji są artyści zasługujący na szacunek, jak np. André Gide.

Pod gradem obelg i gróźb starzy bogowie literatury francuskiej zachowali się z godnością, mianowicie milczeli.

Poza względami ogólnymi, milczenie ich zdaje się jednak mieć także pewne szczególne motywy, których można się jedynie domyślać. W tydzień po cytowanym artykule o kierowaniu literatury przez rząd, w tymże piśmie ukazał się artykuł znanego krytyka Henri Bidou, zawierający m.in. takie zdanie: „Francji pozostało kilku znakomitych żyjących jeszcze pisarzy, jak François Mauriac, Jean Giraudoux...” reszta nazwisk została wykreślona przez cenzurę. Billy zatem pisał prawdę: rząd nie tylko nie wziął jego artykułu za żart, ale istotnie ma ambicje kierowania produkcją narodową w zakresie powieści. Jakie nazwiska zostały wykreślone? André Gide? Georges Duhamel? Może André Malraux? Jeżeli wymienianie nazwisk ich jest zakazane, czy wolno im pisać? Od sierpnia już prasa zapowiada wznowienie N.R.F. w strefie nieokupowanej; pierwszy numer miał być gotowy do druku już we wrześniu. Numer ten nie ukazał się dotąd. Czyżby Julien Benda musiał legitymować się z posiadania aryjskiej babki? Wiemy tylko, że Henri Bergson miał być przed śmiercią usunięty z Collège de France, ale rada ministrów postanowiła uznać go za „zaszczytny wyjątek”. Sławny filozof odmówił przyjęcia tego przywileju.

Łatwość, z jaką część przynajmniej opinii francuskiej obaliła swych starych bogów, wyrzekła się wypróbowanych w ciągu stuleci instytucji, odwróciła się od najslawniejszych tradycji i nawet wykreśliła ze swej literatury najbardziej cenionych autorów, musiała zastanowić nawet najbardziej niepoprawnych optymistów. Uderzał zwłaszcza fakt, że obrazoburstwo było tym razem nie działem ciemnych sił ludowych, ale zamożnej burżuazji, dążącej dotąd zazwyczaj do zachowania istniejącego stanu rzeczy.

Aby sobie objaśnić to zjawisko, wypada być może, uświadomić sobie wpływ naiwnej filozofii pragmatycznej, jaką w różnych odmianach propagowano od 40 lat w Europie z prawa i lewa. Już wielki apostoł naszych czasów przemocy, Georges Sorel pisał o „użyteczności pragmatyzmu”. Nawet w rzeczach wiary posługiwano się argumentacją pragmatyczną: jaką korzyść mamy z wątpienia? Prawdą jest to, co nam służy, co sprzyja naszemu *élan vital*. To rozumowanie, ta łatwa filozofia powodzenia leży na dnie całego kapitulacjonizmu europejskiego. Niemcy wygrały wojnę? Zatem ich instytucje są dobre. Antysemityzm sprzyja *élan vital* rasy germańskiej? Będzie zatem doskonały i dla nas. Jaką korzyść możemy wynieść z obstawania przy naszych opiniach? Nasze instytucje, tradycje i gusty nie przyniosły nam powodzenia? Zrzućmy je zatem jak stare ubranie.

Jeżeli tego rodzaju filozofia była zawsze absurdalna, wypadki ostatniego roku wykazały nadto całkowitą fantastyczność i oderwanie od rzeczywistości doświadczalnej. Nikt z nas nie zna dziś swego losu, nawet na dzień jutrzejszy, i rozważanie, jakie opinie przyniosą nam najwięcej powodzenia, jest rzeczą spóźnioną i jałową. Jeszcze śmieszniejsze wydaje się wycenianie republiki i literatury z punktu widzenia szans przegranej wojny. Czy nie rozsądniej jest myśleć po prostu, że zachowanie republiki wymagało więcej inteligencji i talentów, niż ich liczyło obecne pokolenie, i że literatura francuska była zbyt

piękna dla czytelników „Gringoire”a, niecierpliwie oczekujących pojawienia się francuskiego *Mein Kampf* (*un livre qui sauvera la France*).

Jeżeli jakaś lektura w ogóle może nam pomóc w odzyskaniu równowagi i opanowaniu myśłą lęku przed toczącymi się wypadkami, trzeba by raczej zwrócić się do listów Seneki, do Plutarcha, przypomnieć sobie gesty i słowa starożytnych w obliczu ostateczności, rozważyć na nowo filozofię, jaką ukrywa w sobie *Troilus il Kressyda* lub *Król Lear*. Rzekomo praktyczne wychowanie obecnych pokoleń z ich naiwnym pragmatyzmem i giętkością myśli graniczącą z niekonsystencją zrobiły je nieobronne zlemu. W obliczu niepowodzenia cały kontynent w swej własnej wyobraźni zaczął się staczać coraz niżej i niżej.

Jak wyobrażano sobie życie w submisji, pod niemieckim kierownictwem?

W Vichy mówiono przede wszystkim o powrocie do rolnictwa, o sławnym *le retour à la terre*. Francuzi wracają na wieś, sadzą kapustę, pasą baranki, podbierają miód, nikomu nie wadzą, przemysłu poza dozwolonym przez Berlin nie mają, Niemcom dostarczają doskonałego sera, sałaty i wina. O co władcy mogliby mieć pretensje do ludu idyllicznego, oddającego się tak godnym pochwały zajęciom?

W innych krajach okupowanych lub oczekujących okupacji wyobrażano sobie przyszłość może mniej bukolicznie, ale w podobny sposób. Z mów Funka można było wnosić, że wszystkie ludy zostaną obłożone poważnym haraczem. Część dnia wypadnie zatem poświęcić pracy dla Niemców, część pracy dla utrzymania się przy życiu, a w końcu dnia pozostanie być może jeszcze godzina odpoczynku, którą będzie można poświęcić jakimś dozwolonym rozrywkom. Za tę cenę miano nadzieję otrzymać prawo do życia, do czytania w niedzielę ilustrowanego dodatku do „Frankfurter Zeitung” i nawet, raz na rok, odbycia niewielkiej podróży w trzeciej klasie.

Takie były nadzieje spokojnych obywateli. Prócz nich, oczywiście, w każdym kraju powstała grupa miejscowych nazi, spodziewających się jeździć samochodem, „kierować” pracą pozostałych obywateli, chodzić w żółtym mundurze z batem w rękę i spędzać z chodnika na jezdni pozostałych jeszcze przy życiu Żydów.

Wśród klerków, zwłaszcza we Francji, żyły jeszcze inne nadzieje. Oczekiowano tam, że zwycięzcy po jedzeniu i picu zapragną jeszcze dobrych obrazów, starych mebli, subtelnej muzyki, pięknej książki, być może nawet wielkiej sztuki i wszystkiego tego, czego nigdy nie bywało w koszarach i w lokalach partii narodowo-socjalistycznych, a nawet w biurach „Kraft durch Freude”. Wszystkiego tego dostarczyć im mogła tylko stara cywilizacja Zachodu, tylko Francja, przygotowująca się do odegrania roli Grecji w nowym Imperium Rzymskim.

Jako rzymscy poddani, Grecy wydali jeszcze Plutarcha, Plotyna i Lukiana z Samosaty. Jako powiatowe miasto rzymskie, Ateny miały jeszcze swe momenty świetności i były miejscem pielgrzymek całej elity imperium. Najslawniejsi cesarze przejęli język Platona. Marek Aureliusz pisał po grecku swe rozważania, Julian Apostata swe pamflety. Przed Paryżem są więc jeszcze całe wieki świetności. Takie głosy dawały się słyszeć wśród klerków. Ewangelię tę głosił też, zdaje się swym francuskim przyjaciółom sam Otto Abetz, wtajemniczony w plany wszechwładnego.

Graeculi, jak pisał pogardliwie Juvenalis... Taką nadzieją łudzili się klerkowie z Vichy, kiedy właśnie prawdziwi Grecy przygotowywali się zadziwić świat czymś zupełnie innym. W pismach tak zwanych literackich zaczęto już inwentaryzować skarby, którymi miano wodzić na pokuszenie barbarzyńców. Ponieważ literaturę republiki wykreślono z jadłospisu, wrócono do klasyków, do Montaigne’a, Pascala, Racine’a, Lafontaine’a. Kto potrafi się oprzeć ich urokowi? Z nami więc, mówiono, są bogowie literaccy.

Ale i te nawet skromne nadzieje zaprawione były goryczą zwątpienia.

Czy przez powrót do rolnictwa uda się odwrócić od Francji ekspansję kolonizacyjną

Niemiec uniknąć tzw. *Landnahme* we Francji? Chytrzy „monachijczycy”, ludzący się od czasów Locarna nadzieją zwrócenia ambicji zaborczych Niemiec na Wschód, z uczuciem ulgi czytali o wcieleniu do Rzeszy trzeciej części Polski i o wysiedleniu stamtąd ludności. Zatem więc — mówili — Niemcy mają już dość ziemi; im więcej ich osiadzie nad Wartą i Wisłą, tym mniejszy będzie napór na Zachód.

Czy jednak jest to tak pewne? Sławny *Drang nach Osten* był zawsze postulatem raczej teoretycznym. Od pół wieku już ludność Niemiec dążyła stale na Zachód. Zresztą kto był jeden chociażby dzień w Kistrzyniu (Küstrin) lub Frankfurcie nad Odrą, wie, dlaczego każdy sprytniejszy mieszkaniec tych okolic starał się przenieść nad Ren. Kto ze zwycięzców będzie dziś chciał z własnej woli osiąść w „deutsche Kreisstadt Pultusk”, jak je nazywają tamtejsze gazety, lub w „Konstantynow bei Litzmannstadt”? Czy przeludnione piaski mazowieckie potrafią w oczach zwycięzców konkurować skutecznie z ziemią francuską, falującą w nieskończoność w złoto-błękitnym dymie tentującym malarzy od czasów Claude Lorrain’a i, co może ważniejsze, przynoszącą rolnikom niezmiennie 10% czystego zysku od wartości szacunkowej gruntu? Już pierwsza *Landnahme* w Lotaryngii, połączona z wysiedleniem 60.000 Francuzów, musiała obudzić te wątpliwości.

Jeszcze mniej pewne wydawały się nadzieje klerków na otrzymanie z rąk nowych Rzymian roli nowych Greków. Hitler dziwnie mało przypominał Flaminjusza, zdobywcę Aten. Zresztą Grecy od czasów Filipa Macedończyka przeszli sporo kapitulacji, ale brak wiadomości, aby poddawali się także kapitulacji moralnej, wyrzekali się swych bogów i w historycznym szale zabraniali wymawiać nazwiska swych artystów. W miesiąc po kapitulacji stało się jasne, że na razie przynajmniej nie ma mowy o żadnej Grecji.

Kto nie był świadkiem tych wypadków, temu trudno jest zapewne sobie wyobrazić, jak szybko stolice kontynentu, niegdyś centralne laboratorium umysłowe i artystyczne świata, stały się głuchą prowincją i przybrały statut parafialny. Kandydaci na Greków nie przewidzieli zapewne tej metamorfozy. Był to jeszcze jeden z niespodzianych skutków kapitulacji moralnej.

W przeciwieństwie do prowincji, stolica jest siedliskiem pewnego rodzaju elity ustalającej bieżącą skalę wartości, i decydująca o tym, kto będzie sławny, jakie książki należy czytać i jakie kapelusze będą noszone w najbliższym sezonie. Prowincja przyjmuje te wyroki stolicy i — o ile nie poddaje się im natychmiast — oznacza to tylko, że pozostaje na razie wierna skali wartości z poprzedniego sezonu. Do wykonania tej funkcji społecznej stolica musi posiadać pewnego rodzaju *potestas clavium*, autorytet dość złożonej natury. Doświadczenia ostatnich lat dowiodły, że stolice, które kapitulowały i zatrzymały się w swej własnej świadomości, tym samym zajęły już postawę prowincji. Przyjmując skalę wartości zwycięzców i przygotowując się do słuchania rozkazów, stolice tracą swą funkcję społeczną i zdolność decydowania nawet w kwestiach, w sprawach mód umysłowych i krawieckich.

Przed wojną już widzieliśmy degradację Wiednia. Kiedy nie stało w nim cesarza i arcyksiążąt, Wiedeń pozostał jeszcze wyrocznią w dziedzinie medycyny, filozofii i konfekcji. Po okupacji spadł wreszcie do poziomu miasta prowincjonalnego, siedziby władz drugiej instancji, do rangi Wrocławia lub Królewca, i wówczas przestał być autorytetem nawet w dziedzinie konfekcji. Bo co to jest kapelusz z Wrocławia? Już August Wilkoński przed stu laty śmiał się z ziemian wieluńskich jeżdżących po zakupy do Wrocławia. Wiedeńczycy długo opierali się swemu losowi. Pomijając już wszystko inne, była to dla nich kwestia utrzymania ich handlu i ocalenia resztek zamożności. Raczej wszystko inne, byle tylko nie stolica *der Ostmark*. *Lieber ein Kaiser aus Gottes Gnaden, als Tapezierer aus Berchtesgaden*, mówili austriaccy legitymiści. Dziś los Wiednia dopełnił się. Od dwóch lat w pismach nie było nawet żadnych depesz z Wiednia, gdzie najwidoczniej już nic się nie dzieje.

Coś podobnego dokonało się latem na całym terenie kapitulacji moralnej. Rozmowy zaczęły obracać się dokola spraw prowincjonalnych. Coraz mniej było chętnych do bronięcia tej lub innej opinii. Tam, gdzie zachowały się jeszcze opery, wrócono do Verdiego. Wszyscy zrozumieli, że przez dłuższy czas nie będzie nic nowego, i zaczęli przystosowywać się do roli mieszkańców Ryczywoła.

Stolice państw Osi były zawsze ubogie, i dla różnych przyczyn życie ich od dawna już miało charakter prowincjonalny, zależny od Zachodu. Miejsce więc opróżnione przez dymisję starych stolic pozostało niezajęte. Cały kontynent stał się rodzajem Cochons-sur-Marne, jak mawiał Léon Blois, czy też Pipidówką *bei Berchtesgaden*.

O Dżyngis-chanie mówiono, że gdzie przeszły jego konie tam trawa nie rośnie. Parafrazując dziś te słowa można by powiedzieć: gdzie przeszły tanki, tam nie ma więcej Europy, tam znikło wszystko, co stanowiło wartość dla jej mieszkańców i dla reszty świata. Ludzie kontynentu są już dziś tylko własnym cieniem dręczonym pamięcią przeszłości. Do nich pasują dziś słowa Achillesa w Hadesie: lepiej być ostatnim pośród żywych niż królem w krainie cieni.

Nie wiem, o ile Anglicy zdają sobie sprawę z tego, ile zyskali prowadząc dalej wojnę. Szarpana przez lotnictwo niemieckie Anglia jest wciąż żywa, wolna, pełna nadziei. Na nią zwracają się oczy całego kontynentu nie tylko jako na ostatnią szansę ocalenia, ale z tajną zazdrością, z jaką bankrut schodzący w cień widzi młodość patrzącą w przyszłość. Chwilami zdaje się, że nawet histeria kapitulantów pochodzi częściowo z tej zawiści. Czemu nie ja?

Zapowiadana już nie raz detronizacja Europy wydaje się dziś, przynajmniej w odniesieniu do kontynentu, faktem dokonanym. Wojna z jej surowym reżimem i powrotem do barbarzyństwa dopełniła dzieła dekoronacji dla patrzących z zewnątrz, kapitulacja moralna dokonała go w samej świadomości Europejczyków. Kiedy w 1919 rewolucja wypędziła z Ukrainy ziemian polskich, do jednego z nich chłopci z jego rodzinnej wsi wystosowali list adresowany: do byłego Starorypińskiego. Określenie to pasuje dziś świetnie do mieszkańców kontynentu.

Czy upadek moralny kontynentu jest ostateczny i niepowrotny? Czy pomyślny bieg wypadków wojennych potrafi wyrwać Europejczyków z ich prostracji? Jasne jest, że powrót do życia i odrodzenie kontynentu nie zależy jedynie od zwycięstwa Anglii. To ostatnie może stworzyć tylko warunki niezbędne do takiego procesu.

Kapitulacja moralna związana była wszędzie ze znaną ewolucją grup posiadających. Czy przewyciężenie kapitulacjonizmu będzie mogło się odbyć bez pozbawienia głosu tych grup czyli bez rewolucji na całym kontynencie? Kto obejmie kierownictwo tej rewolucji?

Pytanie to nie jest czysto akademickie. W Paryżu władze okupacyjne pozwoliły na wznowienie agitacji komunistycznej. Jest to powtórzenie w innej formie starej groźby pod adresem posiadających: jeżeli utracimy oparcie w warstwach zamożnych, będziemy go szukali u ich przeciwników; gdybyśmy zaś mieli przegrać wojnę, zdążymy zawsze przekazać spadek po nas komunistom. Wobec tych perspektyw wielu przewidujących szukało już dziś reasekuracji od tej strony, przygotowując się do nowej kapitulacji na lewo.

Okupowany, rozbrojony, pokryty siecią nadzoru i obozów koncentracyjnych kontynent nieprędko być może potrafi się zdobyć na czynną walkę o niepodległość. Pierwszym jednak warunkiem zajęcia jakiegokolwiek postawy czynnej będzie stworzenie dla niej przesłanek moralnych i przewyciężenie paraliżującej wszelką działalność hysterii kapitulacyjnej. Ostatnie tygodnie przyniosły pod tym względem liczne objawy powrotu do zdrowia.

Pisać o nich jest jeszcze za wcześnie. Na ogół streszczają się one do dwóch zjawisk: zachwiania wiary we wszechpotęgę narodowego socjalizmu i kryzysu wewnętrznego kapitulacji.

Zachwianie wiary w zwycięstwo zaczęło szerzyć się przede wszystkim w samych państwach Osi i stamtąd przenikać do stref okupowanych. Kryzys wewnętrzny kapitulacjonizmu zaczął się od uświadomienia sobie na całym kontynencie niemożności ułożenia jakichś stałych, chociażby nawet uciążliwych warunków współżycia z państwami „dynamicznymi”. Straszny los Polski i brak jakiegokolwiek koncepcji pokojowej niemieckiej poza sławnym *deutsche Führung* wykazały całą nierealność i fantastyczność nadziei kapitulacjonistów. Niemalą rolę odegrały wreszcie ekscesy kapitulacjonizmu i obrzydzenie wywołane jego histerią. W ciągu kilku miesięcy Europejczycy kontynentalni zdążyli zmierzyć całą głębię swego upadku:

„Je viens de te montrer le gouffre. Tu l’habites.” (V. Hugo)

Możność zatrzymania się w panicznej ucieczce, zmierzenia wzrokiem i zrobienia inwentarza otchłani, ocenienia szans aktów rozpacz — wszystko to jest już początkiem przewyciężenia lęku i wstydu, z których zrodziła się kapitulacja moralna.